

RZECZPOSPOLITA SARMACKA 2.0

Skąd ten wsteczny bieg? Dlaczego rządzący prowadzą nas przeciwko zjednoczonej Europie? Skąd ten strach przed głębszą integracją i w ogóle przed zmianami w Brukseli, skoro wiadomo, że w obecnym przejściowym i w dużym stopniu przypadkowym kształcie czeka Unię być może dalsza rozsypanka?

Jeśli próbujemy wyjaśniać, że to dlatego, że Jarosław Kaczyński i jego otoczenie nie znają świata, politykę zagraniczną podporządkowują partyjnym rozgrywkom na polskim podwórku, a wszystko zaostża osobista mściwość prezesa, to tylko przesłizgujemy się obok być może najboleśniejszego polskiego problemu. Nie narodził się on z chwilą objęcia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość, ma swe zamierzchłe źródła, w niejednym nam zaszkodził, nieraz mieliśmy go za zwalczony, bądź przynajmniej uspijony, ale dopiero zmiana u steru w 2015 roku ujawniła jego niszczycieliską moc.

Więc pytajmy trochę inaczej: czemu wciąż rozmiągamy się ze współczesnością? Czemu suwerenność i niepodległość rozumiemy głównie jako pokrzykiwanie o nich i jarmarczne obwieszanie się narodowymi symbolami? Dlaczego nie potrafimy pojąć, że patriotyzm w niepodległym państwie to nade wszystko wypełnianie niełatwych powinności obywatelskich? Czemu wybieramy z polskiej tradycji przegrane powstania i najbardziej z nich daremny zryw żołnierzy wyklętych, a nie to, co potrafiliśmy zbudować i utrzymać? Czemu tak dobrana narodowa rekwizytornia bardziej dzieli, niż łączy, a służy głównie celebrowaniu samej siebie i wystawianiu innym cenzurek z prawomyślności?

No i skąd wreszcie ten zaprzeszyły klerykalizm z Chrystusem-Królem na czele państwa zamiast chrześcijańskiej refleksji nad człowiekiem i jego ojczyzną, do której daremnie wzywał nas polski papież? Bo z jego wielkości pozostał tylko gigantyzm pomników i coraz bardziej zakurzone, bo rzadko otwierane teksty. Dlaczego wreszcie tak wielu z nas uważa mit

Smoleńska za ważniejszy i bardziej przełomowy od legendy „Solidarności”?

■ PATRIOTYZM KLĘSKI

Na pewno cięży nad nami przekleństwo zmarnowanego XIX wieku. Kiedy inne – szczęśliwsze – narody europejskie budowały swoje sprawnie działające państwa, kiedy wykluwały się tam nowoczesne społeczeństwa, myśmy się borykali bezskutecznie ze sprawą podstawową: brakiem niepodległości. Kiedy inni w laboratoriach i fabrykach tworzyli rewolucję przemysłową, myśmy się zrywali do daremnych rewolucji niepodległościowych. Jedynym spoiwem, scalającym Polaków wcielonych przemocą do trzech różnych państw, był język i wyznanie. Stąd Kościół stał się instytucją nie tyle religijną, ile narodową i niepodległościową. Z tak ukształtowaną świadomością i z tak odziedziczonym zapóźnieniem weszliśmy w niepodległość szczęśliwie odzyskaną w 1918 roku. Trudno się dziwić, że celebrowanie narodowego męczeństwa i kult przegranych powstań stał się rdzeniem polskiego patriotyzmu.

Ale w międzywojennym dwudziestoleciu zrobiliśmy bardzo niewiele, aby przemienić go w patriotyzm państwa niepodległego i sprawnie funkcjonującego. Bohaterami obwołano ostatnich żyjących uczestników powstania styczniowego, zrywu najzupełniej daremnego, od początku skazanego na klęskę. Jeszcze listopadowe miało jakieś mgliste szanse, styczniowe – żadnych. O jedynych zwycięskich powstaniach, jakie legły u podstaw odzyskanej niepodległości – wielkopolskim i śląskim – szybko postarano się zapomnieć, bo ich przywódcy nie należeli do obozu piłsudczykowski. Jako budulec patriotyzmu pozostały Legiony i zwycięska wojna z bolszewikami. Historyczne odwoływanie się do największego polskiego dokonania, jakim była wyprzedzająca Europę polsko-litewska demokracja szlachecka, nie było mile widziane, bo oba najsilniejsze obozy polityczne międzywojnia – endecja i sanacja – do demokracji odnosiły się z rezerwą. To, co o tym wielkim i przez co najmniej dwieście lat dobrze funkcjonującym eksperymencie demokratycznym pisał wcześniej Leleweł,

a w międzywojniu Konopczyński, pozostało na marginesie.

Tak weszliśmy w czas okrutnej wojny, znowu wymagający bohaterstwa. Powojenna Polska Ludowa od początku skażona była kłamstwem narzuconego z zewnątrz ustroju, fałszywą ideologią, zdradą jałtańską, by nie wspomnieć o kłamstwie katyńskim i fałszerstwach pomniejszych. Wystarczyło, by wszystko, co ona opowiada, traktować jak kłamliwą propagandę. Także próbę rzetelnego rachunku sił i rozumniejszego spojrzenia na tragedię powstania warszawskiego. Skoro bez odpowiedzi pozostawało pytanie o bezczynność stojących u bram Warszawy wojsk sowieckich, to cała reszta wywodu też wydawała się załgana. Zresztą powojenne usiłowanie zbudowania nowego, rozsądniejszego i „socjalistycznego” patriotyzmu było nie tylko skażone ideologią, ale i połowiczne, bo w PRL-owskiej szkole kładziono młodzieży do głowy te same romantyczne stereotypy co przed wojną, a myśl o polsko-litewskiej demokracji była jeszcze bardziej ideologicznie niesłuszna. Korzystał z tego Kościół, utrwalający swą pozycję jedynej nieskażonej komunizmem instytucji; to on zresztą chlubnie przeprowadził nas przez noc stanu wojennego i lat osiemdziesiątych.

■ BEZWŁAD I UTRWALONE OD POKOLEŃ STEREOTYPY

Najmocniejsze zarzuty dotyczą jednak Polski niepodległej po przełomie 1989 roku. Kiedy wreszcie zniknęła cenzura i ideologiczne serwity, nie podjęto próby nowocześniejszej pedagogiki społecznej, liberalnie zakładając, że prawda sama się obroni. Reszty dokonał bezwład i utrwalone od pokoleń stereotypy. Dwu wielkich polskich pokojowych i obywatelskich dokonań – demokracji szlacheckiej i „Solidarności” – nie chciano lub nie potrafiono uczynić budulcem patriotyzmu. Wszystkie rządy wolnej Polski powinny otrzymać szkolną dwóję z wychowania obywatelskiego. Na ironię zakrawa, że kult żołnierzy wyklętych zainicjował sam prezydent Bronisław Komorowski. Nie znaczy to, że bohaterowie daremnej i od początku przegranej walki z komunizmem nie zasługują na upamiętnienie. Ale niech to będzie upamiętnienie w prawdzie, bez zacerpniętego od Józefa Mackiewicza (Świętny pisarz, ale szkodliwy publicysta) przekonania, że wszystko, co po wojnie nie było strzelaniem do komunistów, zasługuje na potępienie jako niegodna kolaboracja. Jeśli rację mieli tylko „wyklęci”, to zdradą jest opozycja demokratyczna w PRL, potem „Solidarność”, wreszcie i „okrągły stół”.

Jarosław Kaczyński przyszedł więc na gotowe. Ale – w przeciwieństwie do poprzedników – jego władza wykazuje godną podziwu gorliwość w pedagogice społecznej. Nie tylko męczeństwo upadłych powstań i żołnierzy wyklętych jest dziś na świeczniku, ale cała XIX-wieczna tradycja romantyczna, która widziała Polskę jako cierpiącego za winy innych nacji „Chrystusa narodów”, a teraz domaga się rekompensaty za heroiczną obronę przed Turkami, Moskwą, bolszewizmem, przed „lewacką zarazą” wreszcie. Temu służy sojusz „tronu i ołtarza”, klerykalizacja państwa wciąż konstytucyjnie świeckiego, przyciąganie w orbitę patriotycznych celebracji środowisk nacjonalistycznych, a nawet półfałszywostek, nienależących do obozu władzy, ale w tym aspekcie użytecznych. Temu służy pośpieszenie wdrożenia reformy szkolnictwa, której prawdziwym celem jest nie tyle likwidacja gimnazjów, ile wprowadzenie programów forsujących ten właśnie model ciasnego patriotyzmu. Coraz odleglejszy czas dzielący nas od wojny, zanik społecznej pamięci o jej okropnościach, sprzyja gloryfikacji walorów żołnierskich i powstańczych. Więcej: pozwala na beztroskie pojmowanie wojny jako świętej próby narodowych cnót, męskiej przygody, junackiej śpiewki. A to już tworzy równię pochyłą prowadzącą do tragicznej powtórki.

Jednakże, aby podjąć próbę rzetelnej odpowiedzi, trzeba sięgnąć jeszcze dalej i jeszcze bardziej boleśnie w głąb duszy polskiej.

■ BAROK PRZECIW RENESANSOWI

Demokracja szlachecka polsko-litewskiej Rzeczypospolitej to czasy późnego średniowiecza i renesansu; wtedy była silna troską swych obywateli o „Rzecz Wspólną”, była jedynym europejskim mocarstwem demokratycznym w otoczeniu monarchii na ogół despotycznych i potrafiła nieźle dawać sobie z nimi radę. Była eksperymentem demokratycznym wyprzedzającym o dwieście pięćdziesiąt lat to, co kiełkowało na Zachodzie pod koniec XVIII i w pierwszej połowie XIX wieku. Nie pamiętamy, że ta demokracja nie ograniczała się do elekcji i sejmików, ale na dwa stulecia przed Monteskiuszem wprowadziła trójpodział władz i miała konstytucję, jaką były od 1573 roku „artykuły henrykowskie”. Wiele jest przyczyn jej upadku: regres handlu zbożem przez Gdańsk, a stąd zubożenie średniej i drobnej szlachty, przewaga magnatów, słabość miast i mieszczan, wzrost siły wrogich państw ościennych i jeszcze więcej.

Ten upadek to już okres kontrreformacji i baroku. Renesans był tolerancyjny, wielowyznaniowy, liberalny. W sztuce skromny, swobodny, nawiązujący do antyku. Nie stawiał ludziom wielkich celów, ofiarowując wolność, pozwalał być takimi, jacy są. Na piedestale postawił nie wiarę, ale rozum, godząc się na ryzyko wynikające z jego ułomności. Był powiewem świeżego powietrza, wpuszczonego w uświęconą wiekowym trwaniem, ale już trochę zatęchłą atmosferę średniowiecza. Barok – przy całej swej wspaniałości i bogactwie – jest zatrzaśnięciem tego, wszak na tak krótko uchylonego, okna. Jest sztuką i światopoglądem kontrreformacji: potężny, bogaty, dynamiczny i jednocześnie przytłaczający. W rzeźbie, malarstwie, wystroju świątyni miał wskazywać kierunek, w którym powinni podążać wierni. Kaznodzieja królewski Piotr Skarga, uważany za bezkompromisowego krytyka wad szlacheckiego państwa (jego pomnik stoi na krakowskim Starym Mieście), był nieprzejednanym wrogiem wolnej myśli i tolerancji religijnej, chwalcą absolutyzmu.

Stopniowy upadek demokracji, a z nią państwa w barokowej Rzeczypospolitej polskoliteńskiej trwał bez świadomości osuwania się w dół. Bez liczenia się z rzeczywistością, więc, przy rosnącym samozadowoleniu narodu szlacheckiego, który miał się za Sarmatów nie tylko lepszych od innych stanów, ale od innych Europejczyków. Magnat Łukasz Opaliński w połowie XVII wieku tuż przed szwedzkim potopem pisał: *Żyjemy bezpiecznie nie znając gwałtów ani obawy. Nie łupi nas żołnierz, nie gnębi poborca, władca nie uciska ani nie zmusza do ciężarów... Zajmujemy się Rzeczpospolitą, gdy nam się podoba.* W takim samozadowoleniu zrywano sejmy, pławiono się w wolności, którą już dawno pomyłono z anarchią. Nie jest ważne, jakim jesteś obywatelem, nieważne, jaka jest władza i czy w ogóle masz na nią wpływ, ważne, że wolno ci wykrzyknąć każde głupstwo, jakie masz na języku, że „jesz, pijesz i popuszczasz pasa”. Dramatyczne otrzeźwienie w czasach konstytucji majowej – uchwalonej zresztą podstępem przez mniejszość ówczesnej szlachty – przyszło o wiele za późno. Stąd rozbiory.

■ MĘTNY MESJANIZM PODSZYTY NIEPOHAMOWANĄ PYCHĄ

Ten najgorszy w naszej historii okres został uświęcony przez polski romantyzm XIX-wieczny kolejnymi pokoleniami i w kolejnych ustrojach wbijany do uczniowskich łbów. To Mickiewicz już w *Pieśni filaretów* uniósł się

wysoko ponad grunt realiów, wołając: *Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił!*. Ten sam wieszcz narodowy w III części *Dziadów* nazwał Polskę *Chrystusem narodów*, okrutnie cierpiącym za grzechy wszystkich innych.

Ale najbardziej destrukcyjną rolę odegrał Juliusz Słowacki w swoich poematach, a może rapsodach, *Genезis z ducha* i *Król Duch*, które raczej są przydługimi modlitwami (*Genезis* taki właśnie nosi podtytuł), przedstawiającymi historię jako pochod duchów buntujących się przeciw Bogu, ale jednocześnie dążących do wielkości i prawdy. „Duch globowy” wcieliła się w ludzi najwybitniejszych i popycha ich do wielkich czynów, nieraz krwawych i okrutnych. Tu już nasz wieszcz antycypuje filozofię Nietzschego. Dramat *Samuel Zborowski* napisze później, ale postać tytułowa jest dla niego przykładem takiego wcielenia. Spór reprezentującego państwo kanclerza Jana Zamoyskiego ze Zborowskim nie jest sporem Kreona i Antygony, bo za Samulem nie stoją żadne racje moralne, tylko dumna, dzika i z niczym się nie licząca samowola. U Słowackiego Zamoyski jest trywialnym racjonalistą, a Zborowski wcieleniem wolności. Król Batory, każąc na wniosek kanclerza ścinać Zborowskiego, ścina polską wolność, ścina Mesjasza. Szlachta polska to *sto tysięcy Chrystusów na koniach szturmujących Nowe Jeruzalem*. Polskość jest ostatnim i najwyższym stadium ewolucji człowieka, przez co muszą przejść wszystkie narody. Oto nasza misja i nasz sens! Mętny mesjanizm podszty niepohamowaną pychę.

Zbolały przegrany powstaniem i cierpieniem narodu polski romantyzm XIX-wieczny wysłał soki z XVII-wiecznego sarmatyzmu, pożywił się nim, uświęcił go. Tak powstała owa „ciemna strona” naszego romantyzmu, o której pisała przenikliwie Maria Janion, choć jej wołanie pozostało daremne. Tak powstał romantyczny, barokowy i mesjański patriotyzm polski, któremu niezbędni są Polacy, ale zupełnie niepotrzebna jest Polska, bo jej przeznaczeniem jest kolejna masakra, a jej rzeczywistością śmiertelna walka szlachetnych widm jak u Słowackiego. Im w Polsce gorzej, tym lepiej dla „króla Ducha”. Na swoje nieszczęście „Solidarność” – już z chwilą swego powstania – odwołała się do tego mitu, skutecznie umocnionego w stanie wojennym. Nieliczne głosy rozsądku zagłuszył bogoojczyźniany jazgot.

Jarosław Marek Rymkiewicz nie musiał się wiele wysilać, by w swej książce uświęcić warchoła Zborowskiego jako symbol polskości;

miął grunt przygotowany przez Słowackiego. Przecież to nikt inny jak mityczny „suweren”, panoszący się wedle swego widzimisię, gdy tylko wzbierze w nim moc... Dlatego ten sarmacki mit usiłuje teraz uświadzić prawicowa publicystyka polityczna, widząc godne upamiętnienia tradycje nie w okresie, gdy polski republikanizm renesansowy był twórczy i demokratyczny, ale w czasach sarmackich, gdy stał się zamknięty, nietolerancyjny, klerykalny i samochwalczy. Jak pisał jeden z jej dzisiejszych eksponentów: *dorośliśmy do roli prawdziwie wielkich Polaków – konfederatów barskich, którzy rozumieli, że walczyć i umierać winniśmy tylko w Okopach Świętej Trójcy.*

■ JUŻ BYŁO

Na odwieczne polskie pytanie „kiedy będzie lepiej?“, odpowiadam wyżej w śródtytułach. Barok bowiem przeplata się w dziejach z renesansem, nie tylko w minionych wiekach. Po krótkim wychnieniu renesansowym, które u nas zaczęło się dopiero w 1989 roku – choć w świecie dużo wcześniej – znowu mamy barok. Kontrreformację nie tylko w Polsce przeciw „postkomunistycznemu lewactwu”, otwartemu soborowemu chrześcijaństwu, a nawet przeciw „Solidarności”; tej najszlachetniejszej i wiekopomnej z lat 1980-1989. Kontrreformację w świecie przeciw liberalizmowi, przeciw wolnemu, tolerancyjnemu społeczeństwu, zgodnej współpracy między ludźmi i państwami. Mało kto zachował dziś jeszcze zaufanie do chłodnych, lecz racjonalnych procedur, którymi żywi się liberalna demokracja. Nadeszła znowu era charyzmatycznych wodzów, którzy niezawodnie wskażą wiernym masom kierunek jedynie słusznego marszu.

Kiedy „było lepiej”, nie zrobiliśmy nic albo bardzo niewiele, by zwalczyć chwilowo wtedy uśpionego sarmackiego diabła, wypasionego na tak bliskiej polskiej duszy romantycznej mistyce. Teraz jest za późno. Teraz został on wrzęgnięty w rydwan prezesa Kaczyńskiego, by pociągnąć nas wszystkich – chcemy, czy nie chcemy – do wybranej przezeń nie tyle ziemi obiecanej, ile ciemnej jaskini przetrwania w złym świecie, jaki nadciąga. W świecie niestabilnym, wobec niepewnych sojuszy i chwiejącej się ekonomii, na przysłowiowym „bożym igrzysku”, gdzie od wieków przewalały się wrogie armie, Polska może przetrwać – wedle niego – tylko jako kraj zamknięty, ciemny, ksenofobiczny, po parafiańsku katolicki, co nie znaczy że chrześcijański, odporny na wszystko, co płynie z zepsutego oto-

czenia. Dlatego ten diabeł jest mu tak potrzebny i tak o niego dba. A barok sprzyja ciemnocie, niestety...

Kto i jak ma go zresztą dziś zwalczać? Przeciw społecznym nastrojom, dominującemu typowi patriotyzmu, przeciw oficjalnie popieranej i nagradzanej historiografii. Trudno będzie z tego wyjść, nawet jeśli PiS przegra wybory lub – co zdarza się partiom wodzowskim – zaplącze się we własne nogi. Mity panują o wiele dłużej niż politycy i ich koterie. Politycy zdobywają władzę, gdy potrafią wciągnąć mit na swą służbę, uczynić zeń sztandar pociągający zdezorientowane tłumy. Tak się właśnie stało. Ta umiejętność nie świadczy jednak o ich wielkości, tylko o sprycie. Polityk i jego partia dawno już przemina, a mity pozostaną. Może posłużą następnemu szarlatanowi, może powoli zejść do narodowej rupieciarni. Pozostaje wierzyć, że tak się stanie, ale wymaga to intelektualnego wysiłku w warunkach mniej sprzyjających niż kiedykolwiek.

■ CIEMNOŚĆ WIDZE

Z racji wieku należąc do innej niż dzisiejszy barok epoki, uważam, że istnieje też inna niż PiS-owska – bo renesansowa – recepta na przetrwanie w świecie złym i niestabilnym. Znaleźć się w twardym jądrze integrującej się Unii Europejskiej, złąć się z nią także politycznie, nie tracąc jednak narodowej świadomości, języka i kultury, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie zamierza ich nas pozbawić. Postawić na solidarność i zwartość tego jądra i samemu być z nim solidarnym. Też ryzykowne, ale nie mniej realne niż wizja z ulicy Nowogrodzkiej w Warszawie. Jest to jednak droga przeciw dominującej dziś świadomości i miłym polskiej duszy mitom. Dlatego na pytanie o przyszłość mogę odpowiedzieć jak bohater głośnego niegdyś filmu *Seksmisja*, gdy się borykał z fałszywym światem wokół siebie: *Ciemność widzę!*

Jerzy Surdykowski